

W. RAORT.

## WIDOKÓWKI

## II.

Człowiek jadący w czasie nocy czarnej, jak sumienie paskarza, mało zazwyczaj okazuje zainteresowania dla piękności przyrody. Patrząc bowiem jest łatwo, zaś cokolwiek widzieć jest już rzeczą o wiele trudniejszą.

Podajemy się więc rytmicznemu ruchowi mknącego pociągu, obserwując snopy złotych iskier lecących wzdłuż nas, po kolejowego tońącego w czarnej mazi nocy i lczymy, niewiadomo po co, słupy telegraficzne wychylające się z ciemności w oświetleniu fruujących iskier.

Z tego przjemnego zajęcia wyrwał nas przestraszony gwizd p-rowozu i głuchy łomot kół w rżymanych nagle w biegu. Przeskakujemy z gracją kilka zwrotnic świecących zielonmi oczyma, uderzamy na silnym zakręcie głowami o rączkę aparatu z napisem: „Warm-Kalt“, zrywamy się, aby pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa i raptem stajemy jak wryci na jakiejś jasno oświetlonej stacji.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytuje mój towarzysz podróży.

Szybko rozkładam mapę układu pana Bazewicza z Warszawy i śledzę gorączkowo czerwoną linię toru kolejowego biegnącego ze Lwowa na wschód.

Jak się później przekonałem, jest mapa układu pana Bazewicza nieoceniona wprost dla neuraszfeników. Najdłuższa choćby przestrzeń na tej mapie wydaje się nam tak krótka, że człowiek poczyną odczuwać żal do samego siebie, iż doychczas nie zwiedził np. archipelagu Splzberden lub Kaukazu, które od Lwowa leżą tylko o dwa lub trzy centymetry oddalenia. Poza em ma mapa pana Bazewicza zalety neutralizujące czas i przestrzeń, bo nie uznaje żadnych naturalnych przeszkód, jak góry i rzeki, a nadto nie trzyma się utartych szablonów kartograficznych wynikających z uwzględnienia długości i szerokości geograficznej.

Na mapie pana Bazewicza znajdujemy Kraków nad jakimś lewym dopływem Prutu, Karpaty ułożyły się wygodnie niedaleko Kowia, Słucz przerywa malowniczo całe Pokucie prawie u bram Kołomyj, Warszawa leży sobie całkiem wygodnie obok Kie dan, gdzie — jak wiadomo — Bogusław Radziwiłł nastawał na cnotę Oleśki Billewiczówny, a Wilno — owe wymarzone przez nas miasto — leży wprawdzie nad zatoką Kuronji vis-a-vis wyspy Öland, ale za to w wybitnie dla mnie niesympatycznej Litwie Kowieńskiej, obejmującej wbrew traktatowi wersalskiemu, całą Łotwę z miastem Toruń i Tczew ku zachodowi i Smoleńskiem, aż po porohy Dniepru, w kierunku wschodnim.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? — powtórzył mój przyjaciel zapytanie.

Jadąc według mapy pana Bazewicza na wschód od głównego południka Ferro, znajdujemy się teraz pod 37 stopniem długości i 53 stopniem szerokości geograficznej... Jeśli jednak uznany za główny południk Greenwich albo termometr Fahrnhelita, to...

Mój przyjaciel przerwał mi, mówiąc przez kilka chwil na temat idjotyzmu, notorycznej atrofii mózgowej i tym podobnym moich dyplomatycznych właściwościach i usunawszy mnie z przed okna, które przesłoniłem sobą i mapą pana Bazewicza, począł się rozglądać po peronie dworca.

— Ależ to są Brody! — zawołał z dumą Kolumba odkrywającego Amerykę.

— To nie mogą być Brody — zauważyłem — gdyż według mapy Bazewicza i przebytego czasu, powinniśmy się znajdować co najwyżej obok Mamajeszti, które od Lwowa leży o pół godziny drogi. Zie sta, nie minęliśmy dotychczas żadnego mostu, a ja pamiętam z przedwojennych czasów, że przed Brodami powinien być most na Styry.

Na co ci most potrzebny? — zapytał ironicznie mój przyjaciel. — Przecież widzisz, że i bez mostu jesteśmy w Brodach...

— Mnie os biście nie jest most wcale potrzebny do szczęścia, lecz jeśli mamy podróżować według jakiegoś planu, to nie mogę się tak szybko z le kiem sercem zgodzić na stratę jednego mostu już w początkach naszej podróży.

— Brody! — westchnął mój przyjaciel. — Czy ty wiesz, że ja w tem mieście byłem kiedyś profesorem gimnazjalnym?...

— Niech ci to Bóg przebaczy, jak ja ci przebaczam!...

Mimo wszystko, nie da się zaprzeczyć, że jesteśmy w Brodach. W owych Brodach, słynnych z brodzkiej herbaty i cholery, oraz z tego, że przeważna część Hallerczków „trzymała brody w rękę“ — jak wynikało z ówczesnych komunikatów sztabu generalnego. Mój przyjaciel wdychał elegijnie w antraktach, patrząc przez okno wagonu na miejsce swoich wysiłków pedagogicznych, jak człowiek patrzący na szpital, w którym przebył jakąś ciężką operację, żalując równocześnie, że nie może choćby na chwilę wyjść na peron brodzki — a to z tego powodu, że w drodze obaj zrzuciliśmy buciki i podróz odbywaliśmy bosy.

— Zanim zdołam ubrać buciki, pociąg ruszył — zauważył mój przyjaciel.

— Nie zaszkodzi, gdy cię ujrzą i bez butów. Uświędzisz nawet tradycję swego pobytu w Brodach, gdyż jako profesor w tem mieście, chodziłeś także bez butów...

Przyjaciel mój począł się wahać i pociąg także. Ruszyliśmy.

Mamy pełną świadomość, że przekraczamy teraz dawną granicę austriacko-rosijską, więc poczynam się z lekka opędać wizjom o policmajstrach, paszportach, ochronie, kopalniach nerczyńskich i szubienicach, nie licząc drob azgowych przyjemności prz gotowanych przez dynastję Romanowych dla wygody podróżującej P. T. Publicznosci.

Zdobywam się na gest i wyciągam flaszkę Baczewskiego, którą uroczystie postanowiliśmy wypić dopiero na Antokolu w Wilnie lub nad zatoką w Pucku.

— Na zdrowie tych, co odwalili nam słupy graniczne!...

Mój przyjaciel wydobyl swoją flaszkę domowej rektyfikacji, którą uroczystie postanowiliśmy wypić dopiero na plaży w Helu i w szlachetnej walizacji wniósł toast na część mego toastu.

Poczęliśmy mówić o wszystkim i o niczem. Zdażyliśmy jeszcze zauważyć, że kolej nasza obecnie pracuje już bez deficytu, o czym nacznie przekonaliśmy się z tego, że w przedziale na ośm osób jechaliśmy tylko my dwaj i to za gratisowymi biletami. — Potem napadła nas jakaś rozlewna miękkość (och, ten Baczewski!) i poczęła nas owijać jedwabistym oprzędem... Całowały nas po oczach jakieś pieściwe wspomnienia i kołysały w takt muzyki rels kolebiącego pociągu.

Mówiliśmy cicho o naszych planach i zamiarach na przyszłość — o tem, co sercu każe silniej uderzyć — o smutnych troskach i o codziennego i o tem, jak to dobrze wyrwać się z ciasnego koła, w którym się kręcimy dla kawałka chleba i kłamieny przed sobą o szczęściu, co w przelocie nawet nigdy nas nie muśnie... Mówiliśmy potem o Wilnie... o drodze Napoleona... o Napoleonie... Rok 1812... Krytykulemy cały pochód na Moskwę... Borodino... Błędy marszałków Berthiera i Duroca... Kołuzów. Ney, Murat, ks. Józef... Odwrót z pod Smoleńska... Wilna... I — budzimy się w Dubnie.

W Dubnie stoi pociąg kilka minut. Zaznaczam to nie dlatego, jakoby stanie pociągu na jakiejś stacji było rzeczą godną uwagi podróżników tej miary co ja i mój przyjaciel, ale czynią to jedynie w tym celu aby podnieść prawdziwe zasługi humanitarne właściciela bufetu restauracyjnego na dworcu kolejowym w tem mieście.

Wyznaję, że nie mieliśmy ani sił, ani chęci do opuszczania wagonu, gdyby nie to, że usłyszeliśmy na peronie urwek bardzo ciekawej rozmowy kilku panów, którzy opuścili sąsiedni przedział.

— Chodźmy na piwo! — powiedział jeden.

— Możemy coś i przegryźć! — powie ział drugi.

— Chodźmy, tu i tak się nie płaci! — powiedział trzeci.

To zadecydowało i natychmiast opuściliśmy z moim przyjacielem nasz przedział.

W bufecie zastaliśmy przeszło dwa zgromadzenia przedwyborcze złożone z podróżnych. Prezydował sam gospodarz, a sekretarzowali dwaj pomocnicy jego oraz jedna mocno zaspana niewiasta. Z obłożonego bufetu porywano co kto chciał. Sełki przygotowanych szklanek piwa, wody, lemoniady i innych ulepków niezko-dliwych zresztą dla zdrowia, wypijano w mig; podawano sobie przekąski, nagło o do pośpiechu gospodarza i jego referentów, polykano nieskontrolowaną ilość kanapek z epoki kamiennej i — nie placono.

Z tłumy cisnących się i wrzeszczących ludzi wysuwał się jeden po drugim ku drzwiom i znikał w ciemności nocy.

— To ciekawe! — zauważył mój przyjaciel. — Ciekawe, że bufet jest tu gratisowy... Nic o tem nie wspominają w rozkładach jazdy...

— O, ten gospodarz to „cwaniak“!... Pewno będzie kandydował w przyszłości z tego okręgu! — odparłem, uchwyciwszy wreszcie po dłuższych ćw czeniach ekwilibystycznych dwie szklanki piwa i dwie skamieniałości kanapkowe.

— Że ten gospodarz może tak obstać! — wypowiedział jeszcze z pewnem współczuciem mój przyjaciel.

Rozległ się dzwonek wzywający podróżnych do powrotu. Od tej chwili zaczę o się widowisko, które mi do reszty obrzydziło wszystkich właścicieli restauracyjnych.

Lotem jaskółki przecinającej powietrze w pogoni za łupem, przeciął nam gospodarz odwrót do drzwi i glosem źle ukrywanej radości, wyrzucił jedno, jedyne słowo: Płacić!

Każdy się spieszył na gwałt, bo dzwonek po raz drugi zatargał naszymi bębenkami. Nie szczęśnicy, którzy poprzednio nie zdołali opuścić bufetu, płacili każdą cenę, byle się tylko wydostać do pociągu. Gospodarz tarasował groźnie wyjście i zgarniał papierki.

I my też zapłaciliśmy. Zapłaciliśmy za dwa piwa i dwa szczołkowce kanapkowe tyle, że wystarczało, aby dziesięciu innych panów nie płacić zupełnie.

Teraz zrozumiałem humanitarne zalety właściciela bufetu w Dubnie!...

Piękną dewizę: „Jeden za wszystkich a wszyscy za nikogo“ zastosował przemily właściciel bufetu z całą obiektywnością swego szczytnego fachu.

— Przez ciebie zrujnuję się finansowo! — Po co mnie ciągnąłeś do tego bufetu? — rzekł mój przyjaciel obmacując troskliwe swój woreczek zawieszony na szyi.

— Cóż to znaczy wobec wieczności? — odparłem sentencjonalnie, usadawiając się w przedziale. Popatrzyliśmy sobie długo w oczy i powiedzieliśmy sobie wszystko, co jeden wiedział o drugim.

Ranek zastał nas w stanie więcej jak smutnym.

Mój przyjaciel zauważył, że wyglądam jak w trzecim dniu wylegiwania się na katafalku, a ja z obserwowałem znowu, iż mój przyjaciel podobny jest ludzaco do szczerze zmarłwionej foki.

Po piętnasto godzinnej podróży odbyliśmy wreszcie naradę, aby się zatrzymać i wysiąść na pierwszej większej stacji kolejowej, skąd zamierzaliśmy się udać do miasta, aby obmyć się i wypaść porządnie. (Ten Baczewski nie ma czasem racji bytu). Do Wilna mamy jeszcze 36 godzin jazdy. Wlecziemy się więc po beznadziejnie monotonna odłudziach Polesia po obu brzegach Horynia, pod żarem upalnego słońca, które wywabia z nich duszne, niezdrowe opary.

Jakaś niemrawa, chora i ponura cisza przechodząca w tępe zadumanie, włada nad tą przestrzenią, gdzie tak niejawno temu walczyły i umierały tysiące i tysiące ludzi wśród huku armat i jęków rozdzielających powietrze...

Z charakterystycznego tępego półsnu, który napada zazwyczaj ludzi w długo wlecących pociągach i na posiedzeniach komisji sejmowych, wyrwał nas okrzyk niemniej zasnętego konduktora: Łuninieć!...

I formujemy się.

Stacja duża, prawie europejska. Miasteczko o kilka kroków od stacji. Są hotele, starosta, restauracje, apteka, kwartel smyczkowy, policja, lekarz i ogładacz zwłok oraz bydła.

Wysiadamy.

Ciche, w skwarze upału zdrętwiałe miasteczko drzemie u rubieży Państwa, niby samotna stacja kresowa, zapamiętana tylko z komunikatów zabo czych sztabów generalnych, czasu wielkiej wojny. Osada o fizjonomji typowo wschodniej, z kompleksem niedźnych, drewnianych domów spiętrzonych, chaotycznie włączających na siebie i przeszkadzających sobie wzajemnie. Smutek opuszczenia włacie się po tych wyboistych, piaszczystych uliczkach Łuninca zamkniętych w ramy drewnianych chodników ułożonych przed wrotami przemitywnych klatek ludzkiego bytowania. Dobrotliwe tylko słońce maluje wszystko na kolor złoty, jasny i ciepły... (C. d. n.)